

Tygodnik ludowy poświęcony oświacie, wychodźtwa, stosunkom zarobkowym i rozrywce wychodzi w każdą środę nakładem Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie pod redakcją Józefa Okołowicza.

Przedpłata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi: w Galicyi i całej Austrii 2 K., w Niemczech 2.50 Mk., we Francyi, Szwajcaryi i Argentynie 4 fr., w Brazylii 3 1/2 milr., w Danii i Szwecyi 3 K. skandynawskie, w Ameryce półn. 1-dol., w Królestwie i Rosyi 1.50 rub. Przedpłatę przesyłać można w markach pocztow. wszystkich krajów. Adres redakcyi i admin.: „Praca“, Kraków, Radziwiłłowska 23

Nr. 77.

Kraków, dnia 25. czerwca 1913.

Rok II.

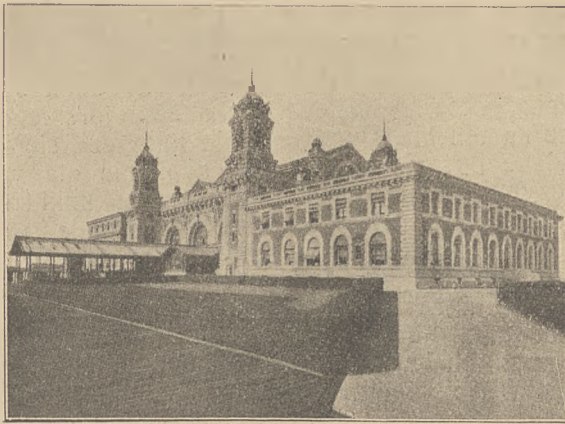
„Kasselgarda“.

Niema chyba pomiędzy naszymi emigrantami nikogo, kto by, udając się do Ameryki północnej, nie słyszał nic o „Kasselgardzie“ i na myśl o niej nie doznawał uczucia trwogi. Jestto czyściec, przez który przejść musi każdy wychodźca, zanim dostanie się do „raju“ amerykańskiego. W „Kasselgardzie“ bowiem urządowa komisya bada wszystkich pasażerów, którzy przybyli na okrętach w III klasie, albo na tak zwanym „międzypokładzie“ (a często także i pasażerów II klasy, jeśli sprawiają wrażenie włościan lub robotników). Badania te dotyczą nie tylko zdrowia emigrantów i ich zdolności do pracy, ale także obejmują pytania, do kogo i pogo jada, jaką gotówką rozporządzają i t. d.

Imigracyjne przepisy amerykańskie nie są zupełnie jasne i w wielu wypadkach

rozstrzyga widzimisię badającego urzędnika, jego zapatrywanie osobiste. W ten sposób imigrant nigdy nie może mieć z góry pewności, czy przypadkiem nie zostanie przez komisję w Kasselgardzie „wybrakowany“ i skazany na powrót do kraju.

Przepisy imigracyjne amerykańskie (w przeciwieństwie do kanadyjskich, które pod tym względem nie nasywiają wątpliwości) nie mówią wyraźnie, jaką gotówkę musi mieć przy sobie na pokaz imigrant, aby dostał pozwolenie na wyładowanie. Powiadają tylko, że musi mieć tyle, aby mu



„Kasselgarda“ w Nowym Jorku.
Budynek gł., w którym odbywa się badanie imigrantów.

wystarczyło na utrzymanie, zanim znajdzie zarobek. W większości wypadków wystarcza kwota 25 dolarów (czyli 125 koron), ale niekiedy komisya imigracyjna nie zadawalnia się pokazaniem kwoty nawet 30 lub więcej dolarów,

choć czasem znów przepuszcza i takich, którzy posiadają przy sobie zaledwie 20 dolarów albo i mniej. Orzeczenie zależy tu, jak wspomniałem, od każdorazowego mniemania badającego urzędnika.

Podobnie też ma się sprawa i ze zdrowiem. Naogół pozbawieni są prawa lądowania przedewszystkiem chorzy na egipskie zapalenie oczu (trachome) lub inne zakaźne choroby, niekiedy jednak zdarza się i tak, że komisya w „Kasselgardzie“ odmawia ze względów zdrowotnych pozwolenia na lądowanie również ludziom zupełnie zdrowym, jeśli nap. sprawiają na niej wrażenie nie dość krzepkich i do ciężkiej pracy niezupełnie zdalnych.

Niejeden też emigrant został zawrócony z drogi za niebaczne wysłowienie się, że nap. jedzie do brata, który mu przyrzekł wystarać się o pracę w fabryce, gdzie sam pracuje. Takiego komisya wnet uznaje za „contract laborer“ (jadącego na umówioną z góry pracę czyli za kontrakttem) i skazuje na powrót do Europy.

Po przybyciu do „Kasselgardy“ imigranci poddawani są naprzód powierzchownym badaniom. Przedewszystkiem oglądają ich lekarze, następnie zaś przesłuchuje urzędnik, któremu

trzeba pokazać adres osoby, do której się jedzie, pokazać posiadaną gotówkę i bilet kolejowy (albo przekaz na ten bilet) oraz odpowiedzieć na stawiane pytania. Przy przesłuchiowaniu tem czynni są urzędowi tłumacze, niestety odnośnie do polskich imigrantów przeważnie żydzi rosyjscy, którzy często tłumaczą niedokładnie, co niekiedy naraża naszych imigrantów na bardzo przykre następstwa.

Jeśli wynik tych pierwszych badań nie nasuwa żadnych wątpliwości, imigrant uznany jest za godnego pozwolenia na wylądowanie, w przeciwnym razie musi się poddać badaniom ściślejszym. O ile i tutaj wyrok zapadnie dla niego nieprzychylny, wolno mu jeszcze odwołać się do głównego na całe państwo Urzędu imigracyjnego w Waszyngtonie, stolicy Stanów Zjednoczonych. Zanim atoli stamtąd ostateczny wyrok nadejdzie, tymczasem trzy-

many jest imigrant w niewoli niby aresztant jaki. Jeśli i tu wyrok poprzedniego nie zmienił, w takim razie emigrant musi wsiąść na ten statek, na którym przyjechał i wracać do Europy z powrotem, nie rozejrzawszy się nawet, jak wygląda ta „wolna“ ziemia amerykańska, do której dążył. Za jedyną pociechę może mu służyć okoliczność, że powrotną podróż na okręcie odbywa już zupełnie bezpłatnie!

Wyraz „Kasselgarda“ jest wyrażeniem ludowem, powszechnie używanem dzisiaj przez naszych wychodźców wiejskich, chociaż niewłaściwie. Pochodzi on od wyrazów angielskich „Castel Garden“, co znaczy „ogród zamkowy“. Tak bowiem nazywała się miejscowość w Nowym Jorku, gdzie dawniej urzędowała amerykańska komisya emigracyjna i gdzie znajdowały się rządowe baraki dla emigrantów.

Obecnie już od szeregu lat badania tej komisji w Nowym Jorku odbywają się zupełnie gdzieindziej, a mianowicie na małej wysepce, położonej pośrodku zatoki nowojorskiej i zwanej wyspą Eliasza („Ellis Island“ — wymawia się: „Ellis Ajland“). Na wysepce tej wybudowano szereg okazałych budynków; tam w wielkich salach komisya imigracyjna



„Kasselgarda“ w Nowym Jorku.

Szpital dla imigrantów.

dokonywa badań świeżo przybyłych do portu nowojorskiego imigrantów i tam nado mieszczą się kancelarye, poczekalnie, sypialnie dla wychodźców, jadalnie, składy na pakunki i t. p., w osobnych gmachach — szpitale i mieszkania dla urzędników. Wszystko to nazywa nasz emigrant „Kasselgardą“, jak również nazywa tak podobne urządzenia i w innych portach, gdzie „ogrodu zamkowego“ — „Castel Garden“ nigdy nie było, jak n. p. w Baltimore lub Bostonie.

„Kasselgarda“ zawsze stanowi wrota, przez które przejść musi emigrant z Europy bez względu na to, jaką sobie wybrał drogę do Stanów Zjednoczonych. Nawet jeśli jedzie na Kanadę lub Meksyk, aby następnie z którego z tych krajów drogą lądową dotrzeć do Stanów Zjednoczonych, musi koniecznie poddać się na granicy tego kraju badaniom komisji imigracyjnej.

musi przejść przez jakąś „Kasselgardę“. Największy postrach u naszych wychodźców budzi zazwyczaj „Kasselgarda“ nowojorska na Ellis Island; uchodzi ona za



„Kasselgarda“ w Nowym Jorku.

Sala jadalna dla imigrantów.

znacznie surowszą niż n. p. „Kasselgarda“ w Baltimore lub Filadelfii.

Przyjrzyjmy się na podstawie urzędowych sprawozdań amerykańskich, jaki ruch panuje w tych nieszczęśliwych „Kasselgardach“, a będziemy mieli obraz, kto i którędy do Ameryki jedzie, i dla jakich powodów bywają tam pozbawiani imigranci pozwolenia na wylądowanie.

W czasie od 1-go lipca zeszłego roku do końca lutego bieżącego roku, t. j. w przeciągu ośmiu miesięcy przybyło do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej **747.998** imigrantów (za czas poprzednich dwunastu miesięcy było ich 838.172). W tej liczbie znajdowało się Polaków 97.572, Rusinów 17.418, Żydów 73.313, Litwinów 14.371, Niemców 54.470, Włochów 155.739, Anglików 38.063, Rosyan 29.383, Kroatów i Słoweńców 24.591, Słowaków 18.304, Węgrów 22.205, Czechów 7.573, Francuzów 14.965, Greków 31.091, Bułgarów i Serbów 6.571, Skandynawczyków 23.861, Rumunów 9.276, oraz wiele innych narodowości. Jak wskazują powyższe cyfry, po włoskiej najliczniejszą jest emigracja polska.

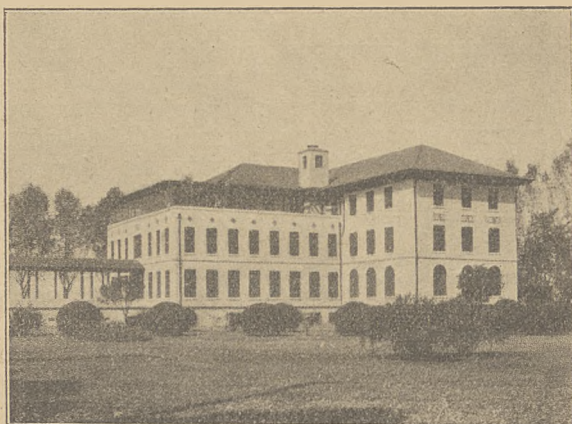
Według podziału na państwa, z których pochodzą emigranci, było w przeciągu tych ośmiu miesięcy 80.244 wychodźców z Austrii (podczas poprzednich 12-tu miesięcy było ich 85.854), 176.252 z Rosyi (w roku poprzednim — 162.395), 79.714 z Węgier, 23.755 z Niemiec, 150.383 z Włoch. Razem z Europy było 648.057 imigrantów,

z Azji 25.762, z Kanady 51.774 — reszta pochodziła z innych krajów.

Najwięcej, bo aż **551.623** imigrantów przybyło w tym czasie na port Nowy Jork; przez Boston jechało 34.495, przez Filadelfię 38.043, przez Baltimore 18.527, przez atlantyckie porty Kanady 15.592, przez kanadyjską granicę lądową 52.472 — reszta zaś przez rozmaite mniejsze porty albo też przez granicę lądową meksykańską. Jak widzimy więc, największy ruch panuje w „Kasselgardzie“ na Ellis Island, bo w przeciągu ośmiu miesięcy przewinęło się tamtędy i poddanych było badaniom przeszło pół miliona imigrantów!

Według zajęć dzieli urzędowe sprawozdanie amerykańskie imigrantów na dwa główne rodzaje: rzemieślników (przybyło ich w tym czasie 107.880) i ludzi z innych zawodów. Wśród rzemieślników najwyższą liczbę stanowili krawcy (16.648) i szewcy (7.796). Naogół jednak najwięcej, bo aż 172.639 było takich imigrantów, którzy podali się za robotników rolnych, oraz wyrobników (133.214) i służących (90.332).

W tym samym okresie czasu, t. j. od 1 lipca 1912 r. po koniec lutego b. r. opuściło Amerykę 247.798 wychodźców, powracających do krajów ojczyści. Wśród tych powrotnych emigrantów było tylko 17.908 Polaków, 7.012 Rusinów, 2.082 Litwinów, 5.111 Żydów. Włochów powróciło do swej ojczyzny 78.985, Greków 29.744, Rosyan 7.012, Niemców 8.711.



„Kasselgarda“ w Filadelfii.

Dom, w którym trzymają imigrantów, niedopuszczonych do lądowania.

Odmówiono w tym czasie pozwolenia na wylądowanie razem 12.557 emigrantom, w tej liczbie 962 Polakom, 244 Rusinom, 130 Litwinom, 1.069 Żydom, 297 Rosyanom, 2.292 Włochom, 1.069 Grekom, 518

Niemcom. Prawie połowę (bo aż 5.218) z ogólnej liczby tych emigrantów skazano na powrót do kraju, ponieważ nie posiadali przy sobie wymaganej gotówki, a więc mogli stać się według orzeczenia komisji imigracyjnej „ciężarem dla dobroczynności publicznej“. U 1.751 imigrantów wykryto egipskie zapalenie oczu lub inne choroby zakaźne, 486 zaliczono do „contracts laborers“ — robotników, przybywających za kontraktem, 317 zwrócono, gdyż nie mieli skończonych szesnastu lat, a jechali bez opieki rodzicielskiej, 521 było kryminalistów, 247 kobiet, żyjących z nierządu, 337 idiotów lub chorych umysłowo, 130 epileptyków, 2.746 uznanych przez lekarzy za niezdolnych do pracy zarobkowej z powodu budowy ciała lub słabości zdrowia.

Dla tych 962 polskich emigrantów „Kasselgarda“ okazała się progim, którego w wędrówce za morze po lepszy byt przekroczyć nie zdołali i od którego nielitościwie odepchnęła ich komisja imigracyjna. Już po odbyciu długiej i kosztownej podróży wszystkich ich spotkał ciężki zawód, wielu zapewne powróciło do kraju

ojczystego zrujnowanych doszczętnie, z rozpaczą w sercu.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne już przed przeszło trzema laty wniosło do Ministerstwa spraw zagranicznych we Wiedniu obszernie podanie o poczynienie u rządu amerykańskiego zabiegów o przeniesienie „Kasselgardy“ do portów europejskich tak, by badania emigrantów odbywały się, zanim jeszcze wsiądą na okręt. Setkom i tysiącom wychodźców zaoszczędziłoby to wielkich strat, wszystkim zaś przykrego ryzyka, na jakie są dzisiaj wystawieni. Gdyby zaś rząd amerykański życzeniu temu nie chciał zadośćuczynić, prosiło P. T. E., aby przynajmniej przepisy imigracyjne w Ameryce ułożone zostały w sposób jasny i stanowczo wykluczający rozmaite wątpliwości.

Rząd wiedeński wprowadzie półgębkiem przyobiecał naszemu Towarzystwu poczynić w tym kierunku potrzebne kroki, ale obietnicy dotychczas nie dotrzymał, bo biurokratom austriackim los polskiego chłopca najmniej leży na sercu. Znana to rzecz!

Józef Okołowicz.

Wiedeńscy spekulanci emigracyjni.

Gdzie ich niema? Wyławiają oni swoje ofiary po Galicyi, Królestwie, wogóle wszystkich ziemiach polskich, otaczają wychodźców „opieką“ w ważniejszych miejscach komunikacyjnych, nie odstępują emigrantów nawet za morzem. Gdzie tylko jest wychodźstwo, którądy się kieruje i gdziekolwiek znajduje ujście, tam wszędzie żerują „opiekunowie“ — spekulanci emigracyjni.

Zna ich dobrze wieś galicyjska, bo mało takich, ktoby z nimi na własną szkodę się nie zetknął i nie poczuł lepkich ich rąk. Jeżeli we wsi rodzinnej, skąd w świat emigrant wyrusza, nie przyłgną doń, to zarzucą na niego sieci w którejś z pogranicznych stacyi lub mieście portowem, choćby i miał już kartę okrętową; na wypadek, gdy udało mu się bez szwanku ujść z Europy, czekają na niego nie mniejsze niebezpieczeństwa zaraz na miejscu wyladowania. Dla opryszków, złodziei, pokatnych wydrwigroszów, oszustów, niema bardziej złotodajnego interesu od wychodźstwa.

Mogłoby się zdawać, że jeżeli emigrant polski albo ruski opuści Galicyę, to przynajmniej do portu dojedzie bezpiecznie i bez wyzysku. Ale gdzie tam! Przytaczamy tu poniżej doniesienie wiedeńskiego dziennika „Reichspost“ z dnia 15 b. m. o tamtejszej szajce handlarzy żywym towarem galicyjskim:

„W sąsiedztwie dworca kolei północnej, na którym wysiadają przejeżdżający przez Wiedeń polscy i ruscy emigranci zamoruscy, osiedliły się w ostatnich latach liczne „agencye podróży“, należące prawie wyłącznie do żydów galicyjskich. Właściciele tych biur wyzyskują swoich krajowców w najbardziej niesumienny sposób i tuczą się ich krzywda. Nieszczęśni wychodźcy, pozbawieni opieki i pomocy, bywają w niestłuchany sposób oszukiwani i pozbawiani grosza, zdobytego ciężką i krwawą pracą. Spekulanci zatrzymują ofiary w Wiedniu zwykle tak długo, dopóki nie wydostaną od nich wszystkich pieniędzy, a potem wysyłają ich, nie zważając na to, że jeden, lub drugi zostanie

zwrócony z portu amerykańskiego dla braku potrzebnej do wylądowania gotówki.

„Biura podróży“ utrzymują na dworcu własnych agentów, mających za zadanie odbierać „towar“ przy każdym pociągu z Krakowa. Agenci odprowadzają ludzi partyjami z dworca do biura i tutaj utrzymują z góry oznaczoną prowizję „od głowy“. Wychodźcy, którzy ani słówka po niemiecku nie rozumieją, skazani są w takim położeniu na ślepa uległość „przewodników“. Co za skandale dzieją się przytem, mieliśmy niedawno przykład, chociaż mieszkańcom tej dzielnicy rzeczy podobne zupełnie nie są nowe.

Do „biura podróży“ przy ulicy „Mühlfeldgasse“ zostały sprowadzone z dworca razem z innymi pasażerami także cztery kobiety, umiejące przypadkowo po niemiecku. Kiedy przychodziło odwieść pasażerów z biura na dworzec południowy, spekulanci żądali za odwiezienie ludzi wozem od każdej osoby po 4 K 50 hal. Za jednorazowe zaś wypożyczenie wozu, mogącego pomieścić 18 osób, biuro płaci tylko 9 koron. Na jednorazowym odwiezieniu emigrantów na dworzec zarabiają więc właściciele „biura podróży“ nie mniej, jak 72 K! Kobietom owym cena wydawała się za wysoka, wskutek czego przyszło do kłótni, która rozpoczęła się w budynku, a skończyła na ulicy. Robotnicy z ulicy bowiem ujęli się za kobietami i dali dobre w skórę dwom agentom.

Przy tej samej ulicy kupował niedawno wychodźca galicyjski obuwie. Kiedy płacił, wtargnął do sklepu agent żydowski i zażądał od sklepikarza 2 K prowizji za to, że „jego“ człowiek zakupił u niego buty! Emigranci, ściągnięci do nory przy ulicy „Mühlfeldgasse“ setkami niekiedy wystają przed domem razem z dziećmi i rozkładają bagaże na ulicy. W pewnych porach dnia funkcjonariusze prowadzą ich do żyd. sklepu Picka w pobliżu. Tam wychodźcy płacą, jak powszechnie opowiadają, np. za kilogram kiełbasy sprzedawanej zwykle po 1 K 60 hal., całe dwa ruble, czyli niemal 5 koron! Wódka w ilości mniejwięcej za 20 hal. kosztuje 1 rubla. Przy wymianie pieniędzy dają zwykle za rubla tylko dwukoronówkę. Za to wszystko agent otrzymuje prowizję, a kupiec ów dorobił się już pokaźnego majątku. Podobnie wyzyskuje się emigrantów przy noclegach. Pasażerowie „biura podróży“ przy ulicy „Mühlfeldgasse“ śpiąją częścią przy ulicy „Blumauergasse“ l. 15 w budynku podobnym do kuźni, czę-

ścią przy ulicy „Nowara“ l. 18, gdzie za nocleg w takim ściśnieniu jakby śledzie w becze, musi się płacić 1 K. Zdarza się często, jak opowiadają świadkowie, że podczas większego ścisku ludzie muszą noc przebyć w podwórzu, stojąc, choć na-przód już musieli zapłacić za noclegowisko po 1 koronie. W schronisku przy ulicy „Nowara“ l. 40, należącym do „biura podróży“, ul. „Afrika“ istnieje sklepik towarów mieszanych, chociaż stosunki zdrowotne schroniska nie dadzą się bez wstępu opisać. W sklepiku tym emigranci płacą za flaszczykę wódki 1 K, za kawałek kiełbasy, pół śledzia z chlebem i łyk wódki również 1 K.

Podobne stosunki panują w innym sklepie żydowskim niejakiego Frankensteina przy ulicy „Nowara“, który odbiorców ma z biura, mieszczącego się przy tej samej ulicy, a nie inaczej się dzieje w podobnych przedsiębiorstwach przy ulicy „Stadtgut“ i „Kaiser Josef“. Ta wiązanka przykładów — kończy dziennik wiedeński — jak oszuści emigracyjni odzieraają przybywających do Wiednia wychodźców, skłoni chyba władze do energicznego kroku, ażeby położyć kres tym spekulacyom, hańbie stolicy monarchii i stosunków prawnych“.

Ponieważ jednak w tym wypadku chodzi o Słowian, a nie Niemców, dlatego nawoływanie choć i poważnego dziennika pozostanie z wszelką pewnością głosem wołającego na puszczy. C. k. władze wiedeńskie, jak wiemy z wielu smutnych doświadczeń, nie mają zrozumienia dla najżywotniejszych spraw i zagadnień społecznych, odwołają się w nieskończoność ustawę emigracyjną, nie zechcą też zainteresować się wiedeńskimi handlarzami żywym towarem.

Jednym z licznych dowodów tej obojętności centralnych władz austriackich na niedolę polskich wychodźców stanowi fakt, że dotychczas Ministerstwo spraw wewnętrznych nie załatwiło podania Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, wniesionego przed rokiem przeszło o zarządzenie, aby wśród urzędników policyjnych na dworcu kolei północnej w Wiedniu był Polak lub osoba dobrze językiem polskim władająca. W podaniu tem powołaliśmy się na okoliczność, że prasa wiedeńska donosi ciągle o nowych nadużyciach, których ofiarą padają wychodźcy polscy na dworcu kolei północnej w Wiedniu ze strony rozmaitych agentów z podciemnej gwiazdy, w razie jednak potrzeby emigranci nasi nie mogą tam korzy-

stać z opieki policyjnej, gdyż między urzędnikami policyjnymi niema nikogo, ktoby dbał o to i biegle władał mową polską. Obok wychodźców z Galicyi i Królestwa przejeżdża codzień przez ten dworzec także mnóstwo innych podróźnych narodowości polskiej, nie władających językiem niemieckim, dla których wygody i bezpieczeństwa powinien być tam przynajmniej jeden urzędnik policyjny, mówiący dobrze po polsku. Ale biurokraci ministeryalni wiedeńscy podanie to pozostawili bez odpowiedzi, bo co ich obchodzi niedola polskiego chłopca i kłopoty polskich podróźnych! Na rząd wiedeński liczyć więc nie możemy, tem bardziej, że i nasi

posłowie, żal to przyznać, sprawy te traktują miękko i na rząd nie wywierają wielkiego nacisku!

Chodzi jednak o własne dobro naszego ludu, musimy przeto uciec się do samopomocy społecznej. Istnieje Polskie Towarzystwo Emigracyjne, a przy niem Biuro podróży, tworzą się obecnie Koła P. T. E. Niech koła te gęstą siecią pokryją kraj cały, niech żaden wychodźca nie wyjedzie z kraju, nie zaopatrzony w kartę okrętową z Biura podróży P. T. E., a osuszy się bagno emigracyjne i znikną nadużycia! Mam nadzieję, że niebawem utworzy się koło P. T. E. również i na gruncie wiedeńskim, na co nowy statut pozwala.

Sobótki i wianki.

Przez całą noc św. Jana, jak corocznie ołonęły na ziemiach polskich ognie, zwane „sobótkami“. Istnieje bowiem starożytny zwyczaj palenia przez noc przed świętym Janem, a w niektórych okolicach na Zielone Świątki, ogni po wzgórzach za wioską, albo też w pobliżu rzeki, na którą przedtem dziewczęta wianki puszczały. Zwyczaj rozniecania ogni na najkrótszą noc w roku jest równie powszechny, jak starożytny. Jest on znany nie tylko w Polsce, ale także w całej Słowiańszczyźnie i u narodów zachodnio-europejskich, a powstanie jego sięga bardzo dawnych, zamierzchłych czasów, kiedy ludy europejskie, w szczególności słowiańskie nie znały jeszcze cywilizacyi, kultury i wiary chrześcijańskiej.

Przodkowie nasi, dawni Słowianie, którzy przed laty z górą tysiącem siedzieli w całej środkowej i wschodniej Europie, trudniąc się uprawą roli i pasterstwem, wierzyli w bogów własnych, z których najpotężniejszym był, różnie w różnych krajach nazywany „Belbog“ — biały bóg, władca dnia, a jemu przeciwstawiał się bóg czarny — noc. W wierzeniach tych, rozpowszeczniionych wśród plemion słowiańskich tak nad Wisłą, Odrą i Łabą, jako też nad Dunajem, Dniepremy i Wołgą, uosobione zostały siły przyrody, którym Słowianie cześć oddawali. Stąd to, kiedy bóg dobry, władca dnia zwyciężył w zupełności boga czarnego, czyli kiedy dzień w roku stał się najdłuższym, a noc najkrótsza, ludy słowiańskie obchodziły owo święto letnie bardzo uroczyście.

Ile piękności, wesela i uciechy mieściło się w tym obchodzie! Lato stało w pełni rozkwitu, ziemia umajona poczyniała wydawać owoce. Zapach szedł od łąk kwiecistych, szum ciągnął zielonym gajem i czarnym lasem. Właśnie zmierzch dnia letniego kładł się powoli na błogosławioną ziemię i zorza złota zapadała powoli na zachodniem niebie, kiedy dziewczęta, stojące nad brzegiem rzeki, rzucały uwite wianki na wodę, a młodzieńcy na łódkach uganiałi się z nimi. Pochwycenie wianka stanowiło wróżbę, która dziewczyna któremu młodzieńcowi przeznaczona jest na żonę. Każdy też chłopak starał się pochwycić wianek swej ukochanej. Uroczystość odbywała się wśród swobodnych płaśów i wesołego śpiewu.

W chwilę po wiankach na wzgórzach około wsi, tuż przy rzece zapłonął stos smolnego drzewa i buchnął ku górze kłębem płomieni. Zapalono sobótkę! Naokoło płonącego stosu zgromadzili się wszyscy mieszkańcy wioski, przynosząc ze sobą jadło i napitek. Przy sobótkce spędzali wszyscy całą noc od zmierzchu do świtu i nikt tej nocy nie zmrzązał oka, czekając wschodu słońca. Starsi rozkładali się naokoło ogniska gromadkami, czestując się wzajemnie wszystkim, co z domu przynieśli, a młódź się bawiła. Dziewczęta zawodziły pieśni, młodzieńcy skakali przez ogień, urządzałi wyścigi, zabawy różne i tańce. Śpiewano przytem pieśni na cześć boga dnia, boga słońca, którego w pewnych okolicach dawnej Polski nazywano Łado, albo Kolado, w innych zaś Kupało.



WIANKI.

Każda zwrotka kończyła się jego wezwaniem. W gromadzie znajdował się także zwykle gęślarz, który przygrywał do śpiewu i tańca. A kiedy wzeszło słońce, kończono uroczystość pochwalnem powitaniem boga.

Prześlicznie opisał noc sobótkową u dawnych Polaków pisarz Józef Ignacy Kraśzewski w najpiękniejszej swojej powieści p. n.: „Stara Baśń“ o czasach popielowych i piastowych. Także Jan Kochanowski napisał brazek poetyczny p. n.: „Sobótką“, z którego dowiadujemy się, że najpiękniejszy ten zwyczaj ludowy polski był w jego czasach rozpowszechniony i uroczystie obchodzony. Obchód ten bowiem ściśle pogański, utrzymał się mimo przyjęcia przez Słowian chrześcijaństwa, a utracił tylko staraniem kościoła cechy, sprzeciwiające się nowej religii — i trwa do dzisiaj.

Wesołe są śpiewki sobótkowe, które dziś słyhać w nocie świętojańskie. Stary język, w jakim są ułożone, oraz poszczególne nieraz słowa świadczą o starożytności zwyczajów, jak n. p. w piosnce:

Ku Dunajowi, ku głębokiemu — leluja!
Ku gaikowi, ku zielonemu — leluja!
Hej zapalili, hej już sobótki — leluja!
I piją piwo i piją wódki — leluja!
Kto na sobótkę, kto nie przybędzie — leluja!
Oj, tego głowa wciąż boleć będzie — leluja!

Inna pieśń ludowa, pochodząca również z czasów dawniejszych, podaje rozliczne uciechy sobótkowe:

Dzisiaj wieczór krótki, zapalmy sobótki!
Hej, dziewczki wybrane, byłem przepasane,
Tańczcie na dworze aż do rannej zorze,
Aż do świtania, lecz nie bez grania!

Hej, chłopcy wybrane, byłem przepasane!
Z dziewczkami skakajcie, pożar rozniecajcie,
Kładąc świerkowe, drzewo cisowe,
Palcie sobótki, bo wieczór krótki!

Hej, grajk' wybrane, by'em p zepasane!
Dudy niechaj zabrzmia, kotły, trąby z agrznią
Niech skrzypią skrzypeczki, piszcza piszczałeczki
W bęben niech biją, miód, wino piją!

B e ł k o.

Wdzięczność ludzka.

Maciej, człowiek prostej wiary, bez żony i bez dzieci, przy pieniądzach sknera stary, że mu szósty krzyżyk leci i że w chacie sam się nudzi, chciał mieć opiekę od ludzi, więc krewnych do siebie zwoływa, i tak się do nich odzywa:

— Co Bóg dał zebrać, zbierając i z pracy i z nieuzycia, to ja dla was przeznaczając, chcę oddać jeszcze za życia; lecz kiedy już podział zrobię, to tylko wymawiam sobie, abym potem bez pieniędzy sam od was nie doznał nędzy. Ten jeden kładę warunek: do śmierci mnie utrzymanie, pewien wzgląd, pewien szacunek, niech stary od was dostanie. Słowem — wzajemną wypłatą do śmierci mnie żywić za to i opatrywać będziecie. No jakże? czy przystajecie?

Na to się krewni poruszają, otaczają go dokoła, ściskają, mało nie zaduszą.

— Zgoda, zgoda! — każdy woła.

— Niech u mnie Maciej osiedzie!

— U mnie mu najlepiej będzie!

— Ja pierwszy prośbę zanoszę, proszę do mnie, do mnie proszę!

Prosilili, aż omamili. Stary Maciej się wesele, że znalazł w tak krótkiej chwili tylu dobrych przyjacieli. Wywleka ze skrzyni

wory, kładzie jeden worek spory, drugi, trzeci, czwarty składa, piąty, szósty — — rzecz nielada!

Co pieniędzy! Co talarów! Wysypał wszystkie na ławie, mierzy i z równych wymiarów każdy dostał równo prawie.

Wszystkich radość była szczerą, on jednego dom obiera; gospodarz go wzywa, prosi — Maciej do niego się wnosi.

Na wnosiny goście, trunek, skrzyпки, tańce, organista, pewny wzgląd, pewien szacunek — to rzecz nadto oczywista.

Potem miesiąc, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty leci... Cóż to? jakiś nieswój stary! O, talary, o talary!

Zrazu procent z kapitału, strawę, odzież, wszystko dostał, ale pomału, pomału — Maciej sługą domu został...

— Macieju! przynieście wody!

— Macieju! pójdzcie do trzody!

— Macieju! rozpalcie ognisko.

Męczyło się Macieisko! Całkiem już wsiedli na niego: Maciej taki to owaki, Maciej gawron, do niczego! Takie miał wdzięczności znaki.

Wreszcie oburzony stary, aby za własne talary jemu taką biedę znosić, poszedł gdzieindziej się wprosić; do drugiego więc

krewniaka wybrał się w najpierwsze święto, lecz niestety! Tam biedaka wcale nawet nie przyjęto:

— Nie naprzykrzaj się nikomu, pilnij się pierwszego domu.

Tak, rozdawszy grosz po groszu, osiadł nasz Maciej na koszu. Ani sposób wytrwać dalej! Już tego dłużej nie znosi, przed organistą się żali i o radę jaką prosi. Rady jego nie odrzucić: oto naprzód wszystkich rzucić, zrobić wór, napchać guzików i tak podojść niewdzięczników.

Chętnie to posłuchał stary; wypchał worek należycie i jakby cenne talary, na cmentarzu wkopał skrycie... I poszedł tego wieczora do owego sukcesora, do którego wprzód się wnosił, a przyszedłszy rydła prosił...

Dają mu rydła co prędzej, lecz każdy chciałby być świadkiem, czy też dziad trochę pieniędzy nie ukrył jakim przypadkiem. Idą, patrzą... kopie stary, trudno oczym nie dać wiary, worek ogromny dobywa, dobywszy tak się odzywa:

— Myśleliście niewdzięcznicy, że już byłem bez pieniędzy! Bogaci z mojej skarbnicy, zostawiliście mnie w nędzy! Ale jeszcze, dzięki Bogu, nie pójde żebrać u progu! Bez cudzej łaski, tej ćwierci dośchy mi było do śmierci. Mam worek, ale się nie dam tak łatwo teraz oszukać, już sam się wam nie zaprzędam, abym znów miał biedy szukać; który mnie przyjmie do siebie, ten tylko po mym pogrzebie, aż po pogrzebie, nie prędzej, będzie panem tych pieniędzy.

Na to się wszyscy porusza:

— Ach, drogi panie Macieju! Zawsze, toć całą duszą kochaliśmy cię, dobrodzieju!

— Niech u mnie Maciej osiedzie!

— U mnie mu lepiej będzie.

— Proszę do mnie, do mnie proszę.

— Ręczę, że się wam odplączę i by każdy wiedział jeszcze, że tych pieniędzy nie stracę, w depozycie je umieszczę. Organistę wszyscy znamy, jemu ten worek oddamy, obwarujcie więc go sami własnymi pieczęciami.

Lak, pieczęcie duchem znoszą, znaki wszędzie wyciskają, organistę chować proszą, sami worek mu oddają.

Każdy rad na dobrodzieja złapać sobie Macieja! Każda prośba była szczerą, Maciej jednego wybiera.

Na wnosiny goście trunek, skrzypki, tańce, organista, pewny wzgląd, pewien szacunek — to rzecz nadto oczywista.

Potem miesiąc drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty leci: cóż to? Zawsze kontent stary, o talary! o talary!

Strawę, odzież, wszystko dostał, żył nieuległy nikomu, jakby przyjacielem został, jakby ojcem w dzieci domu. Upraszano go o radę, w żadną nigdy nie wszedł zwadę, lubiony, czczony był stary. Oj talary! Oj talary!

Na wygodach, w pomyślności, szybko mu zeszły lata, wreszcie po krótkiej słabości, zszedł stary Maciej ze świata.

Na ostatnie już zaszczyty dostał pogrzeb przyzwoity, który, niemałym nakładem, skończył się sutym obiadem.

Po pogrzebie, po obiedzie, wniosek to już przecie czysty, pyszny dziedzic wszystkich wiedzie wprost do pana organisty...

Biorą worek — wszystkie święcie dochowane są pieczęcie. Otwierają... straszne krzyki! Czerepy, szkiełka, guziki!...

Rozmaitości.

Niniejszy numer jest przedostatnim w pierwszym półroczu bieżącego roku. Nadchodzi półrocze drugie — i okoliczność ta nastęrcza najlepszą sposobność na rozszerzanie gazetki i jednanie jej nowych czytelników i prenumeratorów. Z gorącym wezwaniem zwracamy się przeto do naszych Kochanych Czytelników i Przyjaciół tak w kraju, jak na obczyźnie, ażeby przysparzali „Pracy“ nowych czytelników i rozszerzali ją w kołach swoich znajomych. Każdy nowy czytelnik „Pracy“, to nowe ogniwo w łańcuchu, wiążącym

Ojczyznę i wychodźstwo w nierozzerwalną całość. Gdy każdy z naszych dotychczasowych czytelników zjedna choćby tylko jednego prenumeratora, przybędą „Pracy“ tysiące nowych czytelników i łańcuch nasz, który przerzucamy ponad oceany, podwoi się. A „Praca“ tak niezmiernie jest tania, chociaż na każdy tydzień zamieszcza wiadomości wychodźcze, gospodarcze, oświatowe, z kraju, ze świata, a ilustrowana jest przytem gesto pięknymi obrazkami! Kto prześle 1 K, ten będzie miał opłaconą gazetkę do końca roku, a na tak dro-

bny wydatek i najbiedniejszego stać. Jednajcie „Pracy“ nowych czytelników!

Ofiara na kościół polski w Budapeszcie. Kolonia polska w Budapeszcie, stolicy Węgier, wynosząca według bardzo niedokładnego spisu rządowego zgórą 5 tysięcy osób, przystępuje do budowy własnego kościółka. W tym celu zawiązał się już dawniej komitet, który zajął się zebraniem na ten cel odpowiednich funduszów. Na ręce tego komitetu (Budapeszt X. Koloman-ton, 32) przesłał w tych dniach cesarz austriacki, Franciszek Józef I kwotę 500 K jako prywatną ofiarę.

80 pracownic rolnych pastwa płomieni. Pisma kijowskie donoszą o następującem strasznem wydarzeniu we wsi Kapuścińce w gub. podolskiej. Na folwarku właściciela ziemskiego Kalińskiego pracowało na plantacyach buraków 80 dziewcząt, sprowadzonych z gub. kijowskiej. Gdy wszystkie robotnice udały się na spoczynek do gumna, miejscowi parobcy zamknęli z zewnątrz drzwi wejściowe i podpalili budynek drewniany ze wszystkich stron. Gumno stało w znacznem oddaleniu od domów mieszkalnych, więc zanim nadbiegli ludzie, gumno było już w płomieniach, a z zewnątrz dolatywały krzyki i jęki ginących w ogniu dziewcząt. Przedostać się do gumna lub też otworzyć drzwi było niepodobieństwem z powodu ognia i braku narzędzi ratunkowych. Wobec braku ratunku wszystkie 80 dziewcząt zginęły w płomieniach. Na miejsce tragicznego wypadku zjechały władze dla pociągnięcia winnych do surowej odpowiedzialności. Dotychczas stwierdzono, że podnaglono gumno z zemsty, iż dzierżawca majątku nie zechciał wziąć do pracy dziewcząt miejscowych, które stawały wygórowane ceny, a zawezwał pracownice z innej gubernii.

Dla polskiej szkółki w Londynie zebrała dziatwa w szkole p. St. Okołowiczówny w Krakowie staraniem Januszka Okołowicza 21 ślicznych książek. Ofiary pochodziły od Wandzi Brunerówny, Anieli Chałubińskiej, Marysi Gertlerówny, Dady Kirchmayerówny, Januszka Okołowicza, Stasia Raczyńskiego, Janka Seefeldta i Stasia Żeleńskiego. Nadto bracia Wilkoszewscy ofiarowali 3 książki. Wszystkie te książki razem z innymi odesłane zostaną w tych dniach w liczbie 50 do Londynu dla użytku tamtejszej dziatwy polskiej.

Z KRAJU i z ŚWIATA



Obrady parlamentu wiedeńskiego zostały w ubiegłym tygodniu przerwane z powodu zbliżających się wyborów do Sejmu galicyjskiego. Obrady nie dały żadnego wyniku, bo ani jedna z ważniejszych spraw nie została załatwiona. Roztrząsany był projekt częściowego wprowadzenia podatku osobisto-dochodowego dla umożliwienia wejścia w życie ustawy służbowej urzędników państwowych. Sprawa ta, jedna z bardzo ważnych, jakie przedłożone były parlamentowi, upadła jednak i nie została załatwiona.

Cesarz niemiecki, Wilhelm II obchodził dwudziestopięcioletni jubileusz panowania. Rocznice obchodzono w całym państwie niemieckim ogromnie wystawnie i z niesłychanym przepychem, ponieważ cesarz ogromnie lubi być czczonym. Ma on zresztą, jak wszyscy Niemcy, przesadne pojęcie o swojej wielkości i sile państwa niemieckiego i stąd Niemcy koniecznie usiłują być pierwszym mocarstwem w świecie. Jubileusz cesarza niemieckiego nie wzbudził w Europie odgłosów przychylnych. Nawet parlament austriacki nie pozwolił na wyrażenie w imieniu swoim hołdu i czci jubilatowi berlińskiemu. Polacy zachowywali się wobec tej dworskiej uroczystości zupełnie zimno i obojętnie.

We wtorek, dnia 10 czerwca o godz. 7 minut 15 wieczorem stanął na polach mokotowskich pod Warszawą lotnik francuski 21-letni Brindejone de Moulinais (czyta się Bredeżonk de Muline), zeskokczywszy zgrabnie z latawca, który chwilę przedtem szybował majestatycznie hen wysoko, w przestworzach. Lotnik Brindejone wyruszył tegoż dnia we wtorek, 10 czerwca z Paryża o godzinie 4 rano. Z Paryża skierował lot wprost na wschód ku rzece niemieckiej Ren, przeleciał Ren w okolicach miasta Düsseldorfu, minął miasteczko fabryczne Essen (gdzie jest słynna fabryka armat Kruppa) i wylądował na gruntach miasteczka Wanne (w Westfalii) o g. 9 rano, zrobiwszy 500 km drogi w ciągu czterech godzin. Po dwugodzinnym odpoczynku, oczyszczeniu maszyny i zaopatrzeniu się w benzynę i oliwę Brindejone dosiadł znowu swego latawca o g. 10 i drogą na Hannover dotarł do Berlina przed południem, przeleciawszy 400 zgó-

Jednajcie „Pracy“ nowych czytelników!

ra km w niespełna 2 godziny. Tu znowu odpoczął prawie 4 godziny, oczyścił maszynę, nabrał benzyny i oliwy i poleciał o g. 4 dalej na wschód ku Warszawie. Tu stanął bez szwanku o g. 7 m. 15 podług rachuby czasu warszawskiego, to znaczy o godzinie 6 podług czasu paryskiego, przeleciawszy 400 z górą kilometrów od Berlina do Warszawy w dwie godziny. Lotnik udał się w kilka dni później drogą napowietrzną do Petersburga, gdzie również szczęśliwie wylądował. Obecnie ma zamiar wrócić do Paryża w podobny sposób, tylko drogą na półwysep Skandynawski i Danię.

W Turcyi zamęt. Ginie ona prędzej, niż przypuszczano. Ginie nie tylko wskutek klęsk ostatniej wojny, lecz bardziej może wskutek rozterki wewnętrznej. Przed paru tygodniami padł z ręki mordercy minister wojny Nazim-pasza, bo znenawidziła go partya młodo-turków; obecnie przed paru dniami padł z ręki mordercy wielki wezyr Mahmud Sefket pasza, bo znenawidziła go partya staro-turków. Nazim-pasza i Sefket-pasza stanowili mózg armii tureckiej; partye uważały ich za swych ulubieńców, więc przez nienawiść partyi ku sobie najlepsi generałowie zginęli. Wogóle w Turcyi coś trzaśło. Rozłazi się państwo jeszcze rozległe i mające duże zasoby siły. Mająca władzę w ręku partya młodo-turecka mści się teraz na przeciwnikach za śmierć Sefket-paszy i wtrąca do więzień setki duchownych, oficerów, dygnitarzy. Póki nie wybuchnie nowy bunt i nie wyrzuci młodo-turków. W tych warunkach oczywiście niema komu pilnować całości państwa tureckiego — i o Turcyi (już obecnie tylko azyatyckiej) Anglia, Francya, Niemcy, Rosya mówią między sobą, jako o rzeczy do wzięcia, do podziału. Jakże to wszystko przypomina nasze dzieje z czasów Stanisława Augusta!

Na Bałkanie przed ostatecznym uspokojeniem piętrzą się wciąż nowe trudności, grożące naweć nie na żarty — wojną. Pośrednictwo Rosyi spaliło na panewce, bo nie zostało przyjęte ani przez Bułgaryę, ani Serbię. Oba państwa gromadzą pospiesznie wojska i wzmacniają granice. Jedna i druga strona jest tak nieprzejednaną, że położenie staje się naprawdę niebezpiecznym.

Zapisujmy się na członków P. T. E.!

Odpowiedzi Administracyi.

Piotr Kozar, Francya. Za zaliczką nie wysyłamy. Prosimy nadesłać wprzód pieniądze, to książki wyślemy.

Kółko Młodzieży Polskiej, Parana. Dziękujemy bardzo tak za fotografię, jak prenumeratę.

Jan Smolik, Galicya. Owszem, książeczkę: „Co to jest P. T. E.“ wysyłamy bezpłatnie każdemu, kto się o nią zgłosi.

N. Majewski, Francya. Prenumeraty, o której wspominacie na pocztówce, dotychczas nie otrzymaliśmy.

Michał Kulik, Niemcy. Sprawozdanie z działalności P. T. E. za 1912 r. przesłaliśmy i Wam i obydwu znajomym, których adresy podaliście.

Jakób Kania, Galicya. Na słowniczek polsko-angielski i kalendarz prosimy przysłać wpiery 1 K, poczem żądane książki natychmiast Wam wyślemy.

Piotr Siemek, Śląsk. Kalendarz i „Pracę“ wysyłamy.

Adam Wyżga, Austrya Dolna. Należność za roczną prenumeratę „Pracy“ i dwa egzemplarze słownika polsko-niemieckiego wynosi 2 K 80 hal. Prosimy przysłać z góry.

KURJER LWOWSKI

dziennik polityczno-społeczny

wychodzi w dwu wydaniach dziennie, południowym i wieczornem, z arkuszowym dodatkiem powieściowym, z „Dwutygodnikiem nauuczycielskim“ i „Głosem kobiet“.

Prenumerata: WE LWOWIE — za oba wydania 2 Kor. miesięcznie, z dwukrotną dostawą do domu o 60 groszy więcej. — NA PROWINCYI: z jednorazową przesyłką 2 K 70 gr. miesięcznie, kwartalnie 8 K; z dwurazową przesyłką miesięcznie 3 K 20 gr., kwartalnie 9 K 50 gr.

KURJER LWOWSKI posiada własnych korespondentów w Warszawie, Wiedniu, Londynie, Paryżu i innych centrach kultury światowej.

KURJER LWOWSKI omawia zagadnienia narodowe i publiczne w artykułach pióra wybitnych sił publicystycznych.

W fejtynie powieściowym rozpoczął KURJER LWOWSKI druk dłuższej powieści **Alfreda Konara** pod tytułem

MŁODOŚĆ PANNY MANI

na tle życia współczesnej Warszawy. Nadto pojawiają się w fejtynie „Kurjera Lwowskiego“ i inne powieści, obok fejtynu naukowego, historycznego, artystycznego, teatralnego i muzycznego.

Nowi prenumeratorowie otrzymają na żądanie bezpłatnie początek drukującej się w „Kurjerze Lwowskim“ powieści Alfreda Konara: „Młodość panny Mani“ i wychodzącej w dodatku powieściowym powieści Elzbiety Shoyen:

BIAŁE NIEWOLNICE.

Rozpowszechniajcie „Pracę“ i jednajcie jej czytelników! Pouczajcie swych sąsiadów i znajomych, że jestto gazetka nie tylko najtańsza, ale także jedyna w swoim rodzaju na ziemiach polskich!

Galicyjski Bank Ziemski

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką
w Łańcucie

1) Nabywa majątki ziemskie i gospodarstwa włościańskie celem odsprzedawania ich członkom Stowarzyszenia w całości lub częściami.

2) Ułatwia członkom swoim parcelację i sprzedaż majątków ziemskich.

3) Reguluje majątkowe stosunki członków i dostarcza kredytu na kupno gruntów.

4) Przyjmuje wkładki oszczędności i na rachunek bieżący począwszy od 50 Kor. i opłaca od złożonych pieniędzy 6% z półrocznym oprocentowaniem.

Od kapitałów złożonych na czas dłuższy jako stałe lokacje opłaca Bank procent wyższy aniżeli 5 od sta, a to stosownie do umowy z Dyrekcją. Treść umowy zostanie zanotowaną w ksiąteczce jako zastrzeżenie.

Wkładki do 100 Kor. wypłaca Bank bez wypowiedzenia, przy wkładkach zaś wyższych zastrzega sobie prawo żądania poprzedniego wypowiedzenia.

Od wkładek opłaca Bank podatek rentowy z własnych funduszków a dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej zamiejscowym dostarcza się czeków pocztowej Kasy oszczędności. Zarazem podaje się do wiadomości, że działalność Banku ograniczona jest do interesów opartych wyłącznie na własności ziemskiej.

Wkładki oszczędnościowe przyjmuje Bank i wydaje ksiąteczki wkladkowe nie tylko w biurach w Łańcucie, ale również w filii swojej we Lwowie przy ulicy Pańskiej l. 17, pierwsze piętro.

Marka ochronna

O^oG. Schmidfa
lekarza szlabowego i fizyka słuchny

OLEJEK SŁUCHOWY
usuwa
głuchotę, wyciek z
uszu, szum w uszach
i przyłepiony słuch,
nawet w wypadkach za-
dawnienia.
Do nabycia po Kor. 4, zafla
Jedynie w aptece
PRZEDT. Z. RUCKERA WE LWOWIE
UL. SKARBKOWSKA L. 7.

Kalendarz „Polak”

Polskiego Tow. Emigracyjnego
na rok 1913

zalecający się tak objętością,
jak doborem treści i zasłu-
gujący na najszersze rozpo-
wszechnienie, mogą naby-
wać prenum. „Pracy” po ce-
nie 50 hal. (25 kop., 45 fen.,
60 ctm., 50 órów, 15 cent.
amer., 400 reisów) razem z
przesyłką pocztową

**Pieniądze z Ameryki do Gali-
cyi, na Śląsk i na Bukowinę i z
Ojczyzny do Ameryki najpew-
niej i najtaniej bez straty na
kursie przekazuje**

Bank Krajowy
we Lwowie

(Galicya, Austria) za pośrednictwem
polskiego Banku

**North Western Trust & Savings
Bank, Chicago**

1201, Milwaukee ave Cor Division str.

Pieniądze należy wpłacać lub przysyłać w ko-
ronach do **Banku Krajowego we Lwowie**,
lub do jego licznych zastępstw w całej Galicyi,
zaś w Ameryce do podanego wyżej Banku w do-
larach. — **Bank Krajowy we Lwowie**
przyjmuje także pieniądze na 4½% ksiąteczki
wkładkowe, mające **popularne bezpieczeń-
stwo i gwarancję kraju**. Księżeczki tak-
ie zachowuje także u siebie w depozytach win-
kulowanych wedle wskazówek składającego.

Popierajmy swoje Towarzystwo asurakcyjne.

Ludowe Towarzystwo

wzajemnych ubezpieczeń

we Lwowie

ul. Wałowa 14

„WISŁA”
przyjmuje
najtaniej
ubezpieczenia od
ognia, pioruna i eksplozyi.